



Krzysztof  
Spadło

# Skazaniec

TOM VI

 Silver Lemon

Krzysztof Spadło

# Skazaniec

tom VI

Liczba Życia

PROJEKT OKŁADKI:

Dariusz Herbowski

ZDJĘCIE:

Dariusz Herbowski

KOREKTA I REDAKCJA:

Małgorzata Wawrzyniak

ISBN:

978-83-948059-3-7

WYDAWCA:

KAGO

KONWERSJA DO WERSJI E-BOOK

Marcin „Kamyk” Kamiński (dobre.media)

KONTAKT:

kago@skazaniec.com

Copyright © 2017 Krzysztof Spadło & KAGO

[www.skazaniec.com](http://www.skazaniec.com)

[krzysztof.spadlo@skazaniec.com](mailto:krzysztof.spadlo@skazaniec.com)

Wszelkie prawa zastrzeżone.  
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości  
bez zgody wydawcy zabronione.

Wydanie I 2017

*Dla Remigiusza Michalika w podziękowaniu  
za bezinteresowną pomoc przy realizacji moich  
pomysłów związanych z projektem Skazaniec.*

Pokusa. To uczucie nie jest wam obce, prawda? Z własnego doświadczenia wiem, że większość ludzi przynajmniej raz w swoim życiu świadomie poznało smak zakazanego owocu. Człowiek to bardzo skomplikowana istota. Jesteśmy pełni sprzeczności, czasami potrafimy balansować na granicy ryzyka tylko po to, żeby nasycić swoją ciekawość lub chęć doznań. Krótko mówiąc, pragniemy wrażeń. Oczywiście zaspokojenie naszych ekscytujących potrzeb ma różne oblicza i większość z nich wiąże się z używkami. Nasza wrodzona słabość, to wrota wiodące do mrocznej krainy złudzeń i łatwo się tam zatracić, coś o tym wiem. Jednak jak to mówią, wszystko jest dla ludzi, trzeba tylko zachować umiar i zdrowy rozsądek.

Kilka miesięcy temu, mając na karku grubo ponad dziewięćdziesiąt lat, pierwszy raz w życiu upaliłem się ziołem i poznałem bardzo ciekawe słowo, które brzmi - zajebicie. Podoba mi się ten wyraz, bo wspaniale oddaje całą gamę pozytywnych uczuć. Jak na ironię, te obie sprawy zawdzięczam Pędrakowi, o którym nie omieszkam jeszcze wspomnieć. Wracając jednak do palenia cudownej roślinki zwanej oficjalnie marihuaną, to muszę wam powiedzieć, że jej zaczarowana moc bardzo mnie urzekła. Nigdy bym nie pomyślał, że jaranie trawki może mieć tak magiczne działanie. Cholernie mi się podobało! Wystarczyło raptem kilka machów i po raz pierwszy w życiu dopadło mnie uczucie boskiej błogości. Nigdy wcześniej nie zaznałem takiego zniewalającego odprężenia. Nigdy! Miałem wrażenie, że moje ciało i duszę wypełnia rozkoszna lekkość, a jednocześnie przez

moją głowę toczyła się intensywna nawałnica myśli. Umysł pracował na pełnych obrotach, a każda myśl niosła z sobą oszałamiające doznania. Wystarczyło, że bezwiednie poddałem się swoim emocjom, a one uniosły mnie niczym morskie fale w daleki, nostalgiczny rejs. Tylko pałac zioła można doświadczyć takiego stanu. Niektórzy z was pewnie wiedzą o czym piszę... Najlepsze jest to, że jakimś cudem czas wtedy zwalnia swój bieg. Mija raptem kilka chwil, a człowiekowi wydaje się, że upłynęły długie godziny. Świadomie o tym wspominał, ponieważ jest to najbardziej odpowiednie porównanie do sytuacji, którą przeżyłem w grudniowe przedpołudnie 1951 roku, chwilę po tym, jak przekroczyłem drzwi wiodące do SALI ODWIEDZIN. W tym samym momencie, kiedy ujrzałem twarz kobiety, która zjawiała się z wizytą mógłbym przysiąc, że czas oszalał. Mój umysł eksplodował, tabuny myśli zerwały się do galopu, serce zaczęło dudnić w piersiach i nie byłem w stanie zaczerpnąć oddechu. W tamtej chwili miałem wrażenie, jakby otuliła mnie otchłań wieczności. Stałem niczym kamienny posąg, chociaż cały świat trząsł się i drżał w swoich posiadach. Ściany budynku zaczęły się rozmywać i znikać. Stoję pośrodku ulicy, a po bokach ciągną się rzędy kamienic z czerwonej cegły, nagle ich krwisty kolor zamienia się w soczystą zieleń wiosennych liści. Widzę przed sobą jej twarz i widzę wyraźnie, że w jej szmaragdowych oczach czai się delikatny uśmiech. A może to nie był uśmiech tylko przelotny grymas, który musnął jej oblicze? Mknę, unoszę się, pędzę i czuję w nozdrzach znajomy zapach kwitnących bzów, moje oblicze smagają ciepłe podmuchy majowego wiatru. Nagle zmiana scenerii i już nie jest zielono, bo mamy jesień, a wszystko dookoła mieni się magicznym blaskiem rubinów połyskujących w promieniach złotego słońca.

Wtem słyszę kobiecy głos, zupełnie jakby dobiegał z innego świata.

- Pan Stefan Żabikowski?

Wracam. Znow jestem w przestronnym pomieszczeniu. Pośród wybiałkowanych ścian stoją trzy rzędy stołów, a za oknami pada

grudniowy śnieg.

- Pan Stefan Żabikowski? - Powtórzyła podchodząc w moim kierunku, a ja miałem ochotę powiedzieć - Nie poznajesz mnie?! Agnieszko, naprawdę mnie nie poznajesz?! Jak to możliwe, że... że jesteś znów taka młoda?! Ty istniejesz, czy jesteś tylko snem albo żywym wspomnieniem?

- Dzień dobry - rzekła zatrzymując się zaledwie dwa kroki przede mną. - Nazywam się Małgorzata Dowell - wyciągnęła przed siebie dłoń na powitanie. - Jestem córką Agnieszki Stokłosa z domu Wypych. - Spojrzała na mnie takim wzrokiem, jakby chciała się upewnić, czy wiem o kogo chodzi.

- Dzień dobry - odparłem i uścisnąłem jej delikatną dłoń.

- Może usiądziemy? - zaproponowała i w tym samym momencie wskazała ręką na stół po prawej stronie.

Zdjąłem moją kufajkę, zawiesiłem ją na oparciu krzesła i usiadłem na wprost niej. Zaschło mi w gardle i jeśli byłaby taka możliwość, to pewnie wypiłbym wiadro wody.

- Miło mi pana poznać.

Spoglądałem na jej młodą twarz.

- Mnie również - odparłem dopiero po chwili, bo nadal byłem w szoku. - Jest pani bardzo podobna do swojej mamy. Niesamowicie podobna. - A w duchu szepnąłem: - *Taką ją właśnie zapamiętałem.* Nie wiedziałem czemu zawdzięczam jej wizytę i jak mam zacząć rozmowę.

- A co u niej? Jak się miewa? Wszystko dobrze? - Zapytałem, bo nic mądrzejszego nie przyszło mi do głowy.

Spojrzała mi prosto w oczy i rzekła smutnym głosem:

- Moja mama umarła pięć lat temu.

Na dźwięk jej słów poczułem się tak, jakby jakiś dziki, bezlitosny zwierz zatopił w moim karku ostre, lodowate kły.

- Nie żyje? - Szepnąłem z niedowierzaniem. - Jak to... nie żyje? Co się stało? - Słyszałem wyraźnie, że głos mi drży i poczułem jak puls dudni w skroniach. Miałem wrażenie, jakby ktoś dźgnął mnie zimnym sztyletem prosto w serce. W jednej chwili przed oczami mojej wyobraźni zaczęły się przewijać kadry odległych

wspomnień. W głowie eksplodowało tysiące natarczywych pytań i w tym samym momencie poczułem w duszy niesamowity ból. Splotłem palce dłoni jak do modlitwy i zapytałem:

- Jak to się stało, że umarła?

- Zabrała ją choroba - powiedziała smutnym głosem. - Cierpiała na dolegliwość, na którą medycyna nie znalazła jeszcze lekarstwa. Kilka tygodni przed śmiercią, kiedy już chyba przeczuwała, że nadciąga koniec, poprosiła mnie o trzy rzeczy. Chciała, żebym w przyszłości zawiozła jej prochy do ojczystego kraju, aby mogła spocząć obok swych przodków. Wtedy też opowiedziała mi o panu - spojrzała mi prosto w oczy. - Myślę, że moja mama bardzo pana... - zamilkła na moment, jakby szukała odpowiedniego słowa i po chwili dodała: - Myślę, że był pan dla niej kimś bardzo ważnym. Miałam wtedy niespełna dwadzieścia lat i przyznam się szczerze, że kiedy opowiedziała mi o waszej znajomości, byłam zaskoczona. Długo nie potrafiłam oswoić się z tą myślą. To było dla mnie bardzo trudne. Przed śmiercią kazała mi przysiąc, że jeśli kiedykolwiek pojedę do Polski, żeby złożyć jej prochy w rodzinnym mieście, to muszę również odnaleźć pana.

Już miałem ją zapytać w jakim celu, kiedy nagle ujrzałem jak sięga do wnętrza swojej skórzanej torby i wyjmując kremową kopertę. Położyła ją na blacie stołu i wolnym ruchem przesunęła w moim kierunku. W miejscu, gdzie powinien widnieć adres odbiorcy było napisane "Dla Stanisława Stefana".

Spoglądałem na kopertę, ale nie byłem w stanie po nią sięgnąć. Zaciskałem palce z taką siłą, jakbym chciał je sobie wyłamać.

- W zeszłym roku przyszedł list - powiedziała - na kopercie widniały pieczętki, że przeszedł cenzurę, a nadawcą był Stanisław Stefański. Domyśliłam się, że to wiadomość od pana i że została wysłana nieoficjalnie.

Spojrzałem na nią zaskoczonym wzrokiem.

- Moja mama miała bardzo nietypowe życzenie - ciągnęła dalej - powiedziała mi, że w kufrze na strychu trzyma swoje osobiste pamiątki i jest tam również korespondencja, którą dostawała od pana. Chciała, żebym spaliła wszystkie listy i wsypała do urny z



prochami. Natomiast ten - wskazała wzrokiem na kopertę leżącą na blacie - miałam panu doręczyć osobiście. Nie wiem co w nim jest. Wiele razy chciałam go otworzyć, ale może mi pan wierzyć na słowo, że tego nie zrobiłam.

Tym razem ja zerknąłem na kremową kopertę. To było pismo Agnieszki.

Przez kilka chwil siedzieliśmy w milczeniu.

- Nie otworzy pan? - Zapytała.

Spojrzałem na jej twarz i siląc się na uprzejmy ton, odparłem:

- Oczywiście, że otworzę.

Delikatnie rozdarłem na kancie brzeg papieru. W środku znajdowała się czarno-biała fotografia. To było pamiątkowe zdjęcie, które zrobiliśmy sobie w drugą rocznicę naszej znajomości. Przez dłuższą chwilę wpatrywałem się w zaczarowany kadr, który uwiecznił moment szczęścia z mojej przeszłości. Czuję, że łzy podchodzą mi do oczu. Nie potrafiłem zapanować nad swoim wzruszeniem. Rękawem bluzy przetarłem wilgotne ślepia. Dobry Boże, tylko ja jeden wiem ile cudownych wspomnień wiązało się z tamtą chwilą! Świat, który przeminął odżył w mej pamięci, a w sercu zabrzmiały echa zamierzchłych czasów. Spoglądałem na fotografię i czułem jak niewidzialne szpony zaciskają się na mej krtani. Od tamtego dnia minęło ponad trzydzieści długich lat. Trzydzieści ponurych i bezbarwnych lat, które trudno nawet nazwać życiem. Miałem ochotę poderwać się na równe nogi i zwyzywać Stwórcę za to, że pozwolił na tę niegodziwość, która mnie spotkała. Widział co się dzieje, spoglądał na to i nawet nie kiwnął palcem, żeby coś zmienić. Zostawił mnie na pastwę losu, chociaż wcale sobie na to nie zasłużyłem. Fala gniewu minęła równie szybko, jak się zjawiała, a zaraz potem poczułem żal. Gorzki żal, pełen bólu i niemocy. Zerknąłem na rewers fotografii. W lewym górnym rogu widniała data 30.05.1921 r. a poniżej trzy słowa: "Zawsze mnie kochaj".

- Mogę zobaczyć? - Zapytała moja rozmówczyni.

Podąłem jej zdjęcie.

Przez chwilę wpatrywała się w zastygłe w bezruchu ujęcie, a

potem je obróciła i zerknęła na adnotację.

Nic nie powiedziała.

Siedzieliśmy w milczeniu, a cisza dźwięczała mi w uszach.

- Spełniła pani prośbę swojej mamy w sprawie pochówku? -  
Zagadnałem, żeby przerwać tę irytującą sytuację.

- Tak - odparła. - Pochowałam ją na kaliskim cmentarzu, obok grobu moich dziadków, a jej rodziców.

- Nie będzie pani przeszkadzać, jeśli sobie zapalę? - Właściwie zapytałem z grzeczności, bo nie czekając na jej odpowiedź, sięgnąłem do kieszeni po papierośnicę.

- Jeśli tylko ma pan ochotę - powiedziała - to proszę się nie krępować.

Zaciągnąłem się głęboko dymem i rzekłem:

- Świetnie pani mówi po polsku.

- W Chicago mieszkaliśmy w polskiej dzielnicy, w domu rozmawialiśmy po polsku, więc chcąc nie chcąc nie miałam innego wyjścia - uśmiechnęła się. - Chodziłam do amerykańskiej szkoły, ale mama nauczyła mnie również pisać i czytać po polsku - wyjaśniła w kilku słowach.

- A pani ojciec, o ile mogę zapytać...

- Od chwili kiedy nas opuścił, nie miałam z nim kontaktu - odpowiedziała zanim zdążyłem dokończyć zdanie. - Nie wiem co się z nim dzieje, nie mam pojęcia gdzie mieszka i co robi - wzruszyła ramionami.

Patrząc na nią widziałem mnóstwo znajomych gestów. Odgarniała włosy identycznie jak Agnieszka, miała te same oczy, to samo spojrzenie i uśmiech. Odziedziczyła jej urodę oraz sposób bycia i tylko barwa głosu świadczyła o tym, że nie jest tą samą osobą.

W mojej głowie kołatały rozbiegane myśli, miałem milion pytań ale nie wiedziałem, jak mam je wypowiedzieć. Byłem również ciekaw jak to się stało, że pozwolili jej na odwiedziny nie dość, że w środku tygodnia, to jeszcze o tak niefortunnej godzinie.

- Mój mąż jest pracownikiem amerykańskiej ambasady w Warszawie - wyjaśniła mi w kilku słowach - i dzięki jego protekcji mogłam sobie pozwolić na wyjazd do Polski. Użył również

swoich wpływów i dzięki temu doszło do naszego spotkania.

Odniosłem wrażenie, że jest bardzo odważna, bowiem cały czas spoglądała mi prosto w oczy i ani na moment nie uciekała wzrokiem w inną stronę.

- Niech mi pani powie, a jak wiodło się pani mamie na obczyźnie?

- Z tego co wiem, to na początku było jej bardzo ciężko, a szczególnie wtedy, kiedy mąż ją zostawił. Niewiele pamiętam z mojego wczesnego dzieciństwa - rzekła. - Po latach mama otworzyła własną firmę krawiecką, którą nazwała "A&S" i z czasem odniosła sukces. Zawsze myślałam, że nazwa "A&S" oznacza jej inicjały, Agnieszka Stokłosa i było to dla mnie oczywiste. Jednak sześć lat temu zdradziła mi, co kryje się za nazwą "A&S". Owszem, to są inicjały, ale imion. Zapewne już się pan domyśla, jakie imię kryje się za literą S - spojrzała mi prosto w oczy i po chwili dodała: - Ona nigdy o panu nie zapomniała.

Na dźwięk jej słów poczułem, jak zimny dreszcz otula moje całe ciało. Przyznam się wam szczerze, że w tamtej chwili miałem ochotę rozplakać się jak chłopiec.

- Obecnie ja prowadzę firmę - ciągnęła dalej - ale ze zdecydowanie większym rozmachem i myślę, że mama byłaby ze mnie dumna.

- Kiedy zmarła? - Zapytałem znienacka zmieniając temat.

- 30 maja 1946 roku.

Spojrzałem na nią zaskoczonym wzrokiem, a w myślach krzyknąłem: - *Chryste Panie! Przecież ścieżki naszego życia przecięły się właśnie tego dnia!* Nasze pierwsze spotkanie, nasz pierwszy wspólny spacer miały miejsce 30 maja trzydzieści dwa lata temu.

Z trudem powstrzymałem swoje emocje na wodzy i tylko pokiwałem głową, jakbym tym gestem chciał jej powiedzieć, że zapamiętam tę datę do końca życia. Zmarła, kiedy ja siedziałem zamknięty w karczerze i w ciemnościach przeżywałem swoją podróż pełną wspomnień z młodości lat.

- Kiedy wybuchła II wojna światowa moja mama miała nadzieję, że pan opuścił więzienie. Pisała do różnych instytucji, żeby

uzyskać jakiegokolwiek informacje. Z tego co wiem, to chciała pana odnaleźć i ściągnąć do Stanów... - Spoglądałem na nią, widziałem, że porusza ustami, ale nie słyszałem żadnego słowa. W mojej głowie rozlegał się tylko wściekły krzyk. - Nigdy nie straciła nadziei i ufała, że udało się panu przeżyć. Nie wiem za co pan został skazany, ale chcę pana zapewnić, że ona zawsze wierzyła w pańską niewinność. - Przez moment przyglądała mi się badawczym wzrokiem i nagle zapytała: - Czy mogę liczyć na pańską szczerłość?

- Oczywiście - odparłem bez namysłu.

- Proszę mi więc powiedzieć, dlaczego pan jest w więzieniu?

Wzięłem głęboki oddech i nim zacząłem mówić, sięgnąłem po kolejnego papierosa.

- Dawno temu, kiedy ja i Agnieszka... Kiedy ja i pani mama - poprawiłem się - mieliśmy raptem po dwadzieścia lat - tymi słowami zacząłem snuć swą krótką opowieść - doszło w Kaliszu do zabójstwa. Przypadek sprawił, że zostałem oskarżony o to morderstwo. Prokurator domagał się dla mnie kary śmierci, ale ze względu na mój młody wiek oraz fakt, że nigdy nie byłem karany plus inne dodatkowe okoliczności - chciałem jej dać do zrozumienia, że nie będę się wgłębiał w temat - zostałem skazany na dożywocie. Od tamtej pory przebywam w tym więzieniu i wszystko wskazuje na to, że pozostanę tutaj, aż do swej śmierci. - Zauważyłem, że w jej oczach mignął cień strachu. Pewnie przez głowę przebiegła jej myśl, że oto siedzi przed nią bezwzględny morderca. Nie wiem dlaczego, ale czułem się zobowiązany powiedzieć jej, że nie przyłożyłem ręki do tego zabójstwa i rzekłem: - Wszystkie dowody wskazywały na mnie, ale Bóg mi świadkiem, że nie popełniłem tej zbrodni.

- Nie ubiegał się pan o rewizję wyroku? O ponowne śledztwo w tej sprawie? - Zapytała zaskoczonym głosem.

- Droga pani - posłałem jej uśmiech - Polska to dziki kraj. Nie mam żadnych szans, żeby domagać się wznowienia sprawy. Poza tym są jeszcze inne nieprzyjemne okoliczności, ale wolałbym o tym nie mówić - chciałem jak najszybciej uciąć ten wątek naszej

dyskusji. - Ma pani przy sobie jakieś zdjęcie Agnieszki? - Zmieniłem temat.

Sięgnęła dłonią do torby, wyjęła skórzany portfel, po chwili podała mi niedużą fotografię i rzekła:

- Zostało zrobione w 1943 roku.

Na ujęciu widniała jej uśmiechnięta twarz. Miała krótko obcięte włosy i nadal była bardzo piękna. Dojrzała i piękna. Oczywiście nieco zmieniła się od czasów swojej młodości, ale nie miałbym najmniejszych problemów, żeby rozpoznać ją w tłumie.

- Może pan zatrzymać tę fotografię - powiedziała.

- Nie, dziękuję - odparłem. - Wolę ją zapamiętać taką, jaką znałem w przeszłości. A wie pani, że ostatni raz widziałem ją, kiedy była z panią w ciąży? - Niby pytałem, ale moje słowa bardziej brzmiały jak twierdzenie.

Spojrzała na mnie zaskoczona.

- To było w 1925 roku - ciągnąłem dalej - przyjechała tutaj do mnie w odwiedziny. Jakiś czas przed tym, zanim wyjechała na drugi koniec świata. - Ledwo wypowiedziałem swoje słowa, a już zacząłem żałować tego wyznania. Niepotrzebnie się wygadałem.

- Czemu do pana przyjechała?

- Nie spodziewałem się jej wizyty. Nie widziałem jej od chwili mojego aresztowania, które miało miejsce w 1922 roku. Odwiedziła mnie po to, żeby się pożegnać. Już wtedy wiedziała, że niebawem wyjedzie do Ameryki.

Nie skomentowała moich słów, ale jestem pewien, że musiała sobie coś pomyśleć. Agnieszka była wtedy mężatką, była kobietą w zaawansowanej ciąży i przyjechała w odwiedziny do człowieka z którym łączyła ją jakaś przeszłość. Głupio zrobiłem wspominając o tym, to było kompletnie bez sensu i czym prędzej musiałem przestawić naszą rozmowę na inne tory.

- A niech mi pani powie, czy mama była szczęśliwa?

- Myślę, że tak. Po odejściu mojego ojca nigdy nie związała się z żadnym mężczyzną, chociaż było kilku takich, którzy się do niej zalecali. Poświęciła się pracy. Czasami miałam wrażenie, że bardziej opiekuje się firmą niż mną - uśmiechnęła się. - Całymi

dniami potrafiła siedzieć w pracowni i eksperymentowała z nowymi wzorami sukienek. Kochała to zajęcie.

- Zawsze o tym marzyła - wpadłem jej w zdanie. - Kiedyś mi powiedziała, że będzie mieć swój własny zakład krawiecki i dopięła celu. Swojego czasu pisała mi o tym w jednym ze swoich listów. Bardzo się cieszę, że udało się jej zrealizować swoją wizję. Po nieco krępującym początku, teraz dyskutowaliśmy swobodnie, a ja miałem wrażenie, jakbym bardzo dobrze znał moją rozmówczynię, której nie widziałem od wielu lat. Nie wiem skąd wzięło się we mnie to uczucie bliskości i więzi, ale przysięgam na Boga, że wyraźnie je czułem. Nie mogłem się na nią napatrzeć i chwilami traciłem poczucie rzeczywistości. W pewnym momencie przez głowę przebiegła mi myśl, że gdyby moja przeszłość potoczyła się inaczej, to siedząca przede mną kobieta, mogłaby być moją córką...

Nie musiałem zadawać żadnych pytań, mówiła o swojej matce, a ja słuchałem jej słów i uśmiechałem się pod nosem. Kiedy bardziej szczegółowo zaczęła mi opowiadać historię firmy A&S nagle w korytarzu rozległy się czyjeś prężnie stawiane kroki, a zaraz potem otworzyły się drzwi i w ich świetle ujrzeliśmy oficera dyżurnego.

- Szanowna pani - powiedział służbowym tonem - czas odwiedzin minął.

Podniosłem się z miejsca, wrzuciłem na grzbiet fufajkę, a otrzymane zdjęcie schowałem do wewnętrznej kieszeni.

- Miło mi było panią poznać - powiedziałem, wyciągnąłem przed siebie rękę i uścisnąłem jej dłoń. - Bardzo dziękuję za odwiedziny. Kątem oka dostrzegłem, że oficer pełniący służbę przyglądał się nam podejrzliwym wzrokiem.

- Życzę wszystkiego dobrego - odparła. - Do widzenia.

- Nie sądzę, żeby było nam dane się jeszcze spotkać - rzekłem, ale nie było w moich słowach nawet cienia złości. - Żegnam panią i dziękuję, że dotrzymała pani słowa danego matce.

Kiedy wyszliśmy na zewnątrz zorientowałem się w czym była rzecz. Córka Agnieszki i dwóch ludzi ubranych w ciemne

garnitury wsiedli do czarnej limuzyny, która prawdopodobnie należała do amerykańskiej ambasady. Natomiast sowiecki gazik musiał pełnić rolę pojazdu, który eskortował ich w trakcie podróży. Samochody ruszyły w kierunku bramy wyjazdowej, a ja razem z oficerem dyżurnym, udaliśmy się w stronę stolarni.

Te niespodziewane odwiedziny, były dla mnie psychicznym wstrząsem. Nigdy bym się nie spodziewał, że przyjdzie mi usłyszeć takie wieści. Tamtego dnia jakaś część mojego świata legła w gruzach i zapadła się w ciemność.

Ona nie żyje.

Odeszła na zawsze, a ja już nigdy nie dostanę od niej żadnego listu lub kartki.

Ta świadomość na długie miesiące położyła się mrocznym cieniem na moim życiu. Czasami miałem wrażenie, jakby wraz z nią umarła również najważniejsza część mojego istnienia. Trudno mi to teraz wytłumaczyć, ale czułem się tak, jakby coś ważnego nagle straciło sens.

Jeszcze tego samego dnia opowiedziałem Mańkowi co mnie spotkało. I wiecie co zrobił? Otóż wysłuchał mnie, a potem rzekł tylko kilka słów:

- Za jakiś czas zaznasz spokoju i ulgi.

Pamiętam, że spojrzałem wtedy na niego, byłem oburzony i pomyślałem z wściekłością, że chyba coś mu się pomieszało w tej durnej łepetynie! Nawet żałowałem, że otworzyłem się przed nim, bo chyba liczyłem na jakieś słowa pocieszenia lub otuchy, a on skwitował ból mojej duszy jednym, idiotycznym zdaniem. Jednak jak to mówią, czas leczy rany i potem przyszedł taki dzień, kiedy zrozumiałem, że Maniek miał rację.

Od czasu pamiętnych odwiedzin pani Małgorzaty, aż do chwili obecnej, data 30 maja stała się dla mnie bardzo szczególna. Dzień, kiedy przypadały rocznice naszego pierwszego spotkania i jej śmierci, przez wiele lat traktowałem z największym szacunkiem. 30 maja stał się dla mnie świętem, a ja powołałem do

życia swój nieszkodliwy rytuał. Rok w rok tego dnia sięgam do puszek po wiśniach w czekoladzie i wyciągam wszystkie jej listy i kartki. Czytam słowa zapisane na starych, pożółkłych kartkach papieru. Oglądam pocztówki na których farba drukarska zdążyła już wyblaknąć przez długie lata, wpatruję się w czarno-białą fotografię, a w duszy wspominam zamierzchłe czasy.

Taką mam właśnie tradycję.

Wiecie czego jestem pewien? Otóż tego, że kiedy nadejdzie mój czas, kiedy umrę i odejdę z tego ziemskiego padoku, to odnajdę moją Agnieszkę na drugim świecie.

Dopóki w moim życiu nie pojawił się Cyferka i nie zdradził mi tajemnicy związanej z Liczbą Życia uważałem, że ta data i wydarzenia jakie miały wtedy miejsce, były po prostu zrzędzeniem losu, ślepym trafem, przypadkiem. Zresztą nieważne jak zwął. Żyłem w nieświadomości o czym niebawem sami się przekonacie. Korci mnie jak jasna cholera, żeby już teraz zacząć o tym pisać, ale jest jeszcze kilka spraw, które muszę opowiedzieć w pierwszej kolejności.

Wronieckie więzienie na początku lat pięćdziesiątych cieszyło się ponurą opinią. Większość osadzonych to byli ludzie, którzy z różnych powodów stanowili problem dla ówczesnej władzy, a więźniów politycznych uważano w tym świecie za najniższą kastę.

- Wiesz co ci powiem - któregoś wieczoru rzekłem do Mańka - ostatnio dość często zastanawiam się nad tym wszystkim i nie potrafię tego zrozumieć.

- Czego nie rozumiesz? - Wpadł mi w zdanie.

- Tego co się dzieje. Tego dokąd zabrnęły komunistyczne idee. Przecież to wszystko nie tak miało wyglądać. Doskonale pamiętam czasy, kiedy wybuchła Rewolucja Październikowa i wszyscy żyli nadzieją, że niebawem nadejdą epokowe zmiany. Tyle się wtedy mówiło o równości i braterstwie.

Maniek usiadł na pryczy, spojrzał mi prosto w oczy i powiedział:



- Czasami mnie zadziwiasz. Powiedz mi w jakim celu zaprzątasz sobie głowę takimi pierdołami? Nie masz innych zmartwień? Przeżyłeś już ponad pół wieku i nadal nie pojmujesz, że tak naprawdę liczą się tylko władza i wpływy. Zawsze tak było i będzie. Czego oczekujesz? Że świat będzie idealny? Że wszyscy będą zadowoleni i szczęśliwi? - Zaśmiał się. - Proszę cię, nie bądź naiwny. Współczuję politycznym, bo nie mają tutaj łatwo i na tym koniec. Rozejrzyj się - machnął dłonią - zobacz gdzie my żyjemy. Tutaj jest nasz świat. Dwie prycze, stół, dwa taborety, kraty w oknach, dwie szafki, zaryglowane drzwi i bomba. Jakie znaczenie ma dla ciebie ustrój panujący po drugiej stronie murów? - Zapytał zniechęcony.

Spojrzałem na niego i w odpowiedzi wzruszyłem tylko bezradnie ramionami.

- Gównu znaczy - powiedział. - Rozumiesz? Gówno. To co jest tam - kiwnął głową w stronę okna - tutaj jest zupełnie nieistotne. Oczywiście możesz się rozczulać nad innymi ale i tak niczego nie zmienisz. Moim zdaniem życie polega na tym, żeby człowiek potrafił o siebie zadbać. - Postukał się wskazującym palcem w skroń i dodał: - Rozsądek podpowiada, że jeśli chcesz spokojnie przetrwać, to zawsze musisz dostosować się do panujących warunków i sytuacji. Życie to bezustanne podejmowanie trudnych decyzji i wyborów, tylko od nas samych zależy, jaki obierzemy kurs. Możesz sobie pomyśleć, że jestem egoistą - stwierdził - ale wolę być samolubem niż męczennikiem.

Biorąc pod uwagę to, że Maniek był na wskroś przesiąknięty mentalnością bezterminowego skazańca, trudno się było z nim nie zgodzić.

Doskonale wiedziałem o czym mówił i muszę przyznać, że znowu miał cholerną rację.

Jego słowa, to nie była dla mnie żadna nowość. Przecież od lat żyłem właśnie w taki sposób i byłem mistrzem bierności. Nauczyłem się stać z boku i zawsze w cieniu wydarzeń. Jednak obserwując to, co działo się na więziennych korytarzach i dodając do tego strzępy informacji, które wtedy docierały do naszych uszu

z drugiej strony murów pojawił się mój, że tak to nazwę - komunistyczny dylemat. Rzeczywistość z początku lat pięćdziesiątych w zderzeniu z moimi młodzieńczymi ideałami, rozniosła je w drobny pył. Myślę, że właśnie wtedy straciłem resztkę wiary w istnienie świata, który miał szansę powstać na marksistowskich doktrynach i stałem się całkowicie apolityczny.

Jeżeli dwoje ludzi trwa w związku małżeńskim, to każdego roku obchodzą swoją rocznicę, a każda ma jakąś ciekawą nazwę. Po roku pożycia obchodzi się papierową, po pięciu latach drewnianą, po dziesięciu cynową... A wiecie jaką nazwę ma trzydziestoletnia? Perłowa.

Latem 1952 roku ja obchodziłem swoją perłową rocznicę odsiadki. Trzydzieści cholernych lat w murach wronieckiego więzienia. Byłem tutaj niekwestionowanym rekordzistą.

- Dyrekcja tego pierdła powinna ci przyznać jakąś nagrodę jubileuszową - stwierdził Maniek rozbawionym głosem, kiedy miesiąc wcześniej poprosiłem go, żeby zorganizował z tej okazji ćwiartkę wódki.

- Oczywiście ja stawiam - powiedziałem, bowiem wolałem w ten paskudny dzień, który miał dopiero nadejść, przełknąć coś mocniejszego, niż zadręczać się myślami i rozdrapywać w duszy stracone lata.

- To może zrobimy pół litra? - Zapytał i zaraz dodał: - Zabawimy się na całego.

- No dobrze, niech będzie - odparłem i już się cieszyłem, że będzie impreza.

W pralni rządził wtedy Marek Kłodziński, który był wszystkim znany jako Kłodziu. W tamtych dniach nie znałem jeszcze chłopca osobiście ale wiedziałem, że Maniek kręcił z nim swoje interesy. Facet musiał być sprytny i chyba miał jakieś mocne układy z klawiszami, bo ponoć przemycał dosłownie wszystko. Kilka miesięcy wcześniej słyszałem jak dwóch kolesi żartowało, że Kłodziu może nawet załatwić do celi dziwkę na noc.

W poniedziałkowy wieczór 21 lipca 1952 roku zaraz po tym

jak wydawka dostarczyła nam do celi wieczorny posiłek, Maniek sięgnął dłonią do swojej skrytki w sienniku.

- To na twoje trzydziestolecie - powiedział i postawił na stole półlitrową butelkę wypełnioną lekko żółtawym płynem. Szyjka była zalakowana, a na flaszce nie widniała żadna etykieta. - To bimber. Kłodziu zagwarantował, że będziemy zadowoleni.

- Ile jestem ci winien? - Zapytałem.

- Chcesz mnie obrazić? - Warknął, marszcząc w aktorski sposób brwi i dodał z uśmiechem. - Ja stawiam.

Siedzieliśmy przy stole jak paniska, ćmiliśmy szlugi, flacha stała na blacie i raz po raz wychylaliśmy z jednego kubka po solidnym łyku. Strażnicy bardzo rzadko zaglądali wieczorem do cel. Oczywiście istniała obawa, że jakiś nadgorliwy klawisz mógł zerknąć przez wizjer albo wkroczyć do środka...

Nim na sterowni rozległ się dźwięk gongu obwieszczający ciszę nocą, a zaraz potem we wszystkich celach zgasły światła, my wysączyliśmy już połowę zawartości butelki. Bimber był mocny jak jasna cholera i nieźle walił do łba, jednak mieliśmy świadomość, że musimy osuszyć flaszeczkę. To był naprawdę miły wieczór, a ja czułem się tak, jakbym siedział w karczmie z moim serdecznym kumplem. Nie widziałem ścian celi i krat w oknie, nie było prycz i zamkniętych drzwi. To wszystko zniknęło, a my dwaj gadaliśmy półgłosem o różnych sprawach. Pamiętam, jak chichraliśmy się z tego, że ludzie po drugiej stronie murów mają bardziej przesrane niż my. Nie wiem czy wiecie, ale w roku 1952 w Polsce było sporo towarów reglamentowanych, które dało się zakupić tylko na kartki. Wiele razy słyszałem jak klawisze jęczeli i narzekali, że w kraju panuje bieda i nędza.

Wiecie jak to bywa przy wódce, prawda? Człowiek lubi powspominać stare dzieje albo pogadać o planach na przyszłość i marzeniach, których nigdy nie uda się zrealizować. Naprawdę było miło, a ja po kilku głębszych zapomniałem o mojej perłowej rocznicy.

Towar od Kłozia powalił nas na kolana nim zegar na wieży wybił północ. Spiliśmy się okrutnie. Nie mam pojęcia co strzeliło

Mańkowi do głowy, ale w pewnym momencie chwiejnym krokiem podszedł do okna, wystawił przez kraty rękę i powiedział bełkoczącym głosem:

- Pierdolić to! - Po czym wziął potężny zamach i cisnął pustą butelką w ciemność.

Flaszka z charakterystycznym hukiem uderzyła o granitową kostkę, a w ciszy lipcowej nocy rozległ się szczeł tłuczonego szkła. Mój kumpel padł na pryczę. Kilka chwil później zobaczyłem, jak żółta poświata bijąca z reflektora wieżyczki strażniczej wpadła do naszej celi, wolno przesunęła się jasnym blaskiem po chropowatej ścianie i powędrowała dalej.

Gdyby taka sytuacja miała miejsce za panowania aspiranta Szumskiego, to jestem święcie przekonany, że wszyscy skazańcy, których okna cel spoglądały w kierunku brukowanej drogi, resztę nocy spędziliby klęcząc na więziennym dziedzińcu. Dostalibyśmy wycisk i klęczelibyśmy tam tak długo, dopóki winowajca nie przyznałby się do swego czynu.

Bimber, który załatwił Kłodziu był pierwszorzędny, bowiem następnego dnia czułem się jak młody bóg. Zero kaca, zero bólu głowy czy innych dolegliwości. Trochę mnie suszyło, ale ogólnie miałem się wyśmienicie. Jednak moje samopoczucie tamtego dnia, jakiegokolwiek by nie było, przyćmiło iście historyczne wydarzenie. 22 lipca 1952 roku, dokładnie w ósmą rocznicę ogłoszenia legendarnego manifestu PKWN, polski sejm klepnął tak zwaną konstytucję lipcową, a nasze państwo na arenie międzynarodowej zyskało oficjalną nazwę - Polska Rzeczpospolita Ludowa.

Wronieckie więzienie nadal funkcjonowało w ten sam sposób o jakim już wspominałem. Polityczni byli skutecznie odizolowani od pospolitych, jedno pudło i dwa odrębne sektory skazanych. Podejrzewam, że takie były wtedy wytyczne Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Od kilku miesięcy działało się też coś dziwnego, bowiem na spacerunku coraz częściej pojawiały się

nowe twarze. Wieść niosła, że do Wroniek trafiają skazańcy z różnych więzień na których ciążyły poważne wyroki. Natomiast ludzie, którzy dostali odsiadkę za jakieś błahe sprawy, byli przenoszeni do innych placówek penitencjarnych. Spacerniak był właśnie tym miejscem, gdzie tę rotację dało się najszybciej zauważyć i człowiek nie musiał być baczny obserwatozem, żeby to dostrzec. Czas pokazał, że tworzą się różne grupy, a jedna z nich była dość szczególna. To byli kryminaliści, którzy mieli już w swoim dorobku więzienną przeszłość. Recydywa. Wytatuowani kolesie o podłych gębach, skorzy do zaczepki i agresywnego zachowania. W ich gronie było też dwóch wronieckich bezterminowców, o których wspominałem w swoich zapiskach. Charakterniak Derczak, nazywany przez innych pieszczotliwie Deruś oraz Słodki.

- Sporo tych grypsujących pajaców - powiedział do mnie pewnego razu Maniek, kiedy siedzieliśmy pod siatką okalającą teren spacerniaka.

Zdawałem sobie sprawę z ich odmienności, bowiem coraz częściej dało się słyszeć w łaźni albo na wybiegu ich dziwną mowę. Używali polskich słów, ale nadawali im zupełnie inne znaczenie. Postronna osoba, nie mająca kontaktu z tym środowiskiem mogła odnieść wrażenie, że słucha szyfru, który brzmi totalnie bez sensu. Może przytoczę taki drobny przykład.

Kilka tygodni wcześniej podczas kąpieli, mimowolnie do moich uszu dotarły słowa, jak jeden z kolesi powiedział do drugiego:

- Franko dostał rakieta i będzie dzisiaj działowanie.

Człowiek mógłby zachodzić w głowę i do końca życia nie znalazłby odpowiedzi w czym rzecz. Minęło sporo czasu, zanim dowiedziałem się cóż takiego znaczą te określenia. Otóż zdradzę wam, że w żargonie grypsujących rakieta, to paczka, którą skazaniec dostaje z domu. Natomiast działowanie, to czynność polegająca na tym, że taki ktoś musi się podzielić jej zawartością ze swoimi kumplami spod celi. Podzielić się oczywiście z tymi, którzy należą do grona grypsujących. Ów zwyczaj był bardzo długo przestrzegany w tej więziennej podkulturze.

- Powiem ci, że to bardzo ciekawe zjawisko - ciągnął Maniek - kiedy siedziałem w Łomży, jeden z więźniów opowiadał bardzo dziwne rzeczy o zatwardziałych skazańcach, którzy byli wobec siebie cholernie solidarni. Przed wojną grypsera nie miała szans rozwinąć się w więzieniach izolacyjnych, ale za to kwitła w tych wszystkich pierdlach, gdzie nie było pojedynczych cel. Wiele ich określeń przedarło się przez mury. Nie wiem czy wiesz, ale na przykład takie słowa na powitanie jak - sie masz - pochodzą z ich slangu. Myślę, że za jakiś czas cała ta banda pospolitych, do których my też należymy, podzieli się na kilka obozów. Zobaczysz, że tak będzie. Wspomnisz moje słowa - powiedział i uniósł w górę wskazujący palec, jakby tym gestem chciał podkreślić, że jego prorocstwo na pewno się spełni. - System izolacyjny poszedł już w zapomnienie.

Przyznam się wam uczciwie, że od pierwszej chwili czułem się zaintrygowany tym tematem. Z jakichś nieznanych mi powodów byłem cholernie ciekaw o co w tym wszystkim chodzi.

Pod koniec lata na stolarnię trafił świeżak. To był młody koleś, ale od pierwszej chwili miałem wrażenie, że ma za sobą więzienną przeszłość. Posiadam chyba jakiś dar, że od razu wyczuwam takich gości. Wystarczy mi jedno spojrzenie, kilka zdań i wszystko jest jasne jak słońce. Ten młodzian nazywał się Albert Bajsztok i nigdy nie zapomnę tego, co zrobił pierwszego dnia, kiedy pojawił się w warsztacie.

Pan Cipa przydzielił mu narzędzia i określił zakres obowiązków. Koleś się nie przedstawił, łypnął na nas tylko swoim podejrzliwym wzrokiem i zaczął pracować. Miał jako takie pojęcie o stolarce, ale jak na moje fachowe oko, jeszcze dużo musiał się nauczyć. Kiedy zegar na wieży wybił wpół do jedenastej, maszyny zostały wyłączone, a nasz szef ogłosił kwadrans przerwy. Klawisz, który nas pilnował siedział jak zwykle w rogu pod oknem i czytał gazetę. Pan Cipa i ten drugi cywil rozłożyli się obok pieco-kuchni, a nasza czwórka plus ten nowy, usiedliśmy w drugim pomieszczeniu. Dokładnie tam, gdzie

całe lata temu miało miejsce brutalne zdarzenie z Rafaelem Dekurganem w roli głównej. Oparłem się plecami o ścianę, wyjąłem szluga i zapaliłem. Nagle ten świeżak powiedział:

- Jak jest u was? - I spojrzał najpierw na mnie.

- A jak ma być? - Odparłem i wzruszyłem ramionami. - Normalnie.

Chłoptaś nic nie powiedział, tylko skierował swój wzrok na mojego sąsiada. Ten również rzekł coś podobnie banalnego jak ja. Kolejny to samo, natomiast Wojtas, ostatni z naszej czwórki, rzucił w jego stronę krótkie:

- Git!

Świeżak niemal natychmiast posłał mu promienny uśmiech, złapał za swój zydelek i przesiadł się obok niego. Wymienili uścisk dłoni i półgłosem zaczęli coś szeptać między sobą.

Od tamtej pory trzymali się razem.

Albert Bajsztok do którego po jakimś czasie wszyscy zwracaliśmy się Ali, bardzo starał się rozsiewać wokół siebie aurę nie tyle tajemniczości, co raczej niedostępności. Wszystkich oprócz Wojtasa traktował z góry i na dystans, jakby chciał udowodnić, że jest kimś lepszym albo ważniejszym. Osobiście zwisało mi to kompletnie na kogo chce pozować, bowiem wiedziałem, że to tylko kwestia czasu zanim sam przyjdzie ze spuszczonej uszami po prośbie. Długo nie musiałem czekać. Brak stolarskiego doświadczenia i praktyki zmusił go do tego, żeby otworzyć gębę i szukać pomocy.

Z początkiem września Pan Cipa zacierał ręce, gdyż wpłynęło fajne zamówienie na taborety. To chyba był rządowy kontrakt, bo nasze wyroby miały trafić do jakiejś jednostki wojskowej. Zdajecie sobie sprawę ilu żołnierzy przebywa w koszarach, prawda? Więc zamówienie na dwa i pół tysiąca taboretów było całkiem logiczne. W stolarni, łącznie pracowało nas siedmiu i mieliśmy zapewnioną zarobkową robotę, aż do końca roku. Rozkoszna jest perspektywa stabilizacji i świadomość, że miesiąc w miesiąc konkretny grosz wpadnie do

kieszeni. No sami powiedzcie, czy może być coś lepszego niż rutyna i harmonia, które idą łąb w łąb? Taka sytuacja daje poczucie bardzo dużego komfortu, a kiedy jeszcze robisz to co lubisz, to kurde jesteś królem. Oczywiście nie do wszystkich szczęście miało się uśmiechać przez tych kilka miesięcy. Ktoś z nas musiał od czasu do czasu walnąć kilka dzionków na charytatywnym froncie. Ja byłem spokojny, bowiem posiadałem umiejętności, które zapewniały mi twardą pozycję. Wracając jednak do tego tłustego zlecenia i zachowania Alego Bajsztoka, to była dosyć interesująca historia. Laikowi mogłoby się wydawać, że zrobienie taboretu to prosta i banalna sprawa. Niestety prawda jest inna, bowiem wbrew pozorom trzeba mieć sporo doświadczenia w drewnianym rzemiośle, żeby sprostać takiemu wyzwaniu. Rzecz, która będzie używana każdego dnia i ma długo służyć, musi być wykonana bardzo solidnie. Nogi nie mogą się rozjeżdżać na boki, wszystko ma być równe i wypoziomowane. Taboret nie może się kolebać na posadzce albo trzeszczeć lub rozjechać się pod ciężarem osoby, która na nim spocznie. Tajemnica tkwi w dobrym klinowaniu. Trzeba też wiedzieć gdzie i jak zrobić wiążące zastrzały. W stolarce, tak jak w każdym rzemieślniczym fachu, wszystko jest kwestią odpowiedniej wiedzy, tajników wykonania oraz rzetelnej precyzji. Gdyby w tamtym czasie zjawiał się ktoś w warsztacie i powiedział, że każdy z nas ma w ciągu godziny samodzielnie sklepać taboret, to powiem wam, że kontrolę jakości przeszłyby tylko dwa stołki. Mój i Pana Cipy. Reszta ekipy zrobiłaby sztandarowe buble.

Tego dnia, kiedy wpłynęło zlecenie, Ali podszedł do mnie i warknął władczy tonem, jak do kundla:

- Jak to trzeba robić?!

Powoli podniosłem wzrok i spojrzałem mu prosto w oczy:

- Słuchaj chłopcze - odparłem spokojnym głosem - nie zwracaj się do mnie takim tonem, jakbyś miał przed sobą chłystka. Jeżeli nasza rozmowa ma przebiegać w ten sposób, to mam dla ciebie inną propozycję.

- Taaa, jaką? - Powiedział z grymasem pogardy.



- Idź do naszego szefa - kiwnąłem głową w kierunku drugiego pomieszczenia - i jego o to zapytaj.

Ali może był bojowo nastawiony, ale w mig zdał sobie sprawę, że to nie jest dobry pomysł. Jeśli Pan Cipa stwierdziłby, że któryś z pracowników jest zieloniutki w temacie, to już jutro na jego miejsce zjawiłby się ktoś inny. Wśród pospolitych stolarzy było jak psów na wsi, a każdy z nich tylko czekał na płatny etat. Zauważyłem też, że Wojtas, który pracował przy drugim stole, bezustannie zerkał w naszą stronę.

Mój rozmówca obliznął czubkiem języka wargi, pociągnął nosem, pochylił się nieco bliżej i rzekł półgłosem:

- No dobrze, może faktycznie źle zaczęliśmy - stwierdził niemalże przyjacielskim tonem, jakby chciał dać mi do zrozumienia, że wina leży również po mojej stronie.

Obróciłem głowę w lewo, spojrzałem na niego unosząc brwi z wyrazem zdziwienia i zapytałem:

- Śmy?

W tamtej chwili nawet nie zwróciłem uwagi, że Ali w bardzo sprytny sposób sprowokował mnie, abym mimowolnie wykonał skręt szyją. Moja twarz znalazła się w takiej pozycji, że Wojtas widział jedynie moją potylicę. Stamtąd gdzie stał, nie miał najmniejszych szans, żeby zobaczyć gębę mojego rozmówcy. Kiedy wiele miesięcy później wróciłem myślami do tamtej sytuacji, dopiero wtedy zrozumiałem postępowanie Aliego. Teraz pewnie myślicie, że to bardzo błaha sprawa, ale spokojnie, zrozumiecie w czym rzecz, kiedy moja opowieść odkryje przed wami mroczny świat grypserów.

Rok pański 1953 przyniósł z sobą wielkie zmiany. Począwszy od stycznia więźniowie, którzy pracowali zarobkowo, przestali otrzymywać gotówkę do ręki. Zamiast forsy na koniec miesiąca, każdy z nas dostawał karteczkę z informacją jaką posiada kwotę na koncie. Pieniądze można było wykorzystać na wiele sposobów. Wydać je w całości lub częściowo na zakupy, zadeklarować ile szmalu ma zostać wysłane do rodziny albo zostawić cały zarobek

lub jego ułamek na koncie i w ten sposób oszczędzać dodatkowy grosz na wyjście.

Sprzedawca w więziennej kantynie otrzymywał z księgowości imienny wykaz skazańców wraz z kwotą, jaką ów delikwent dysponuje. Człowiek dokonywał zakupów, dostawał towar oraz kopię kwitu na którym widniało ile przepuścił. Oryginały kwitów wędrowały z powrotem do księgowości i tam bilansowano cyferki na koncie. Tym prostym sposobem gotówka zniknęła z więziennych korytarzy, a co za tym idzie, szlag trafił wszystkie nielegalne interesy, które załatwiano za pomocą legalnych środków płatniczych. Nastaly czasy, jakby to powiedział Johnny Alcatraz, wielkiego comebacku handlu wymiennego. Walutą były oczywiście fajki, które każdy mógł posiadać i żaden klawisz nie miał prawa przyczepić się do tego. Podstawowymi artykułami przemysłowymi zostały herbata i wódka. Oczywiście, jak pewnie się domyślacie, ceny za magiczny susz i wysokoprocentowe płyny osiągały zawrotne pułapy. Chłopaki z pralni i budowlańcy przemycali oba produkty, ale alkohol nie cieszył się takim powodzeniem jak herbata. Po pierwsze trudno było wnieść na teren więzienia wodę, po drugie po spożyciu cuchnęło z ryja jak z gorzelni, a kary dyscyplinarne za pijaństwo były bardzo srogie. Natomiast otręby, jak wtedy potocznie określano w więziennym slangu herbaciany susz, to zupełnie inna bajka. Niektóre określenia grypsujących mimowolnie zostały zaadoptowane również przez pozostałych więźniów i tak dla przykładu, jeśli idzie o herbatę to jej handlowe ilości nazywano w następujący sposób:

Szuflada - pojemność towaru równała się ilości, która mieściła się w pudełku po zapalkach.

Wagon - paczka herbaty o wadze 5 dkg.

Przegub, przegubowiec lub autobus - paka zawierająca 10 dkg suszu.

Wcześniej wszyscy znali pojęcia parzacha, czaj lub czajura, ale w tamtych czasach pojawiła się jeszcze jedna nazwa - jemioła.

Pewnie myślicie sobie, na jaką cholere komus herbata, skoro

potrzebny jest wrzątek, żeby przyrządzić magiczny płyn, prawda? Powiem wam tylko tyle, że pomysłowość więźniów, którzy mają mnóstwo wolnego czasu nie zna granic. Aby skonstruować prymitywną kuchenkę są potrzebne następujące przedmioty - metalowa puszka, kawałek drutu, sznurek lub skrawek prześcieradła i trochę jakiegoś tłuszczu, może być smalec, margaryna lub olej. Knot umieszcza się w puszcze w pozycji stojącej, do tego jest niezbędny drut, a następnie zalewa się puchę płynnym tłuszczem i po sprawie. Zdobycie tych kilku rzeczy w pudle naprawdę nie nastęczało żadnych problemów. Warsztatowcy, którzy pracowali w ślusarni dorabiali sobie sprzedając małe stojaki zrobione z prętów na których można było położyć kubek albo miskę z wodą, żeby łatwiej było podgrzać ich dno.

Kiedy forsa została wykluczona z więziennej egzystencji, świat skazańców uległ błyskawicznej ewolucji. Maniek i Kłodziu, niemal natychmiast wykorzystali tę sytuację i nawiązali sojusz. Połączyli swoje siły i zawiązali w spółkę. Ten pierwszy miał szerokie kontakty, a ten drugi nieograniczone możliwości do uprawiania kontrabandy. Jeżeli którykolwiek z pospolitych chciał w miarę tanio kupić herbatę, musiał rozmawiać z nimi. Na spacerunku, ceny detaliczne kształtowały się następująco - za szufladę trzy skrzynki, za wagon dziesięć, a za autobus negocjacje zaczynały się od dwudziestu. Jednak Maniek i Kłodziu byli na tyle mocni, że mogli zejść niżej i kasowali odpowiednio na straganie, czyli w sprzedaży bezpośredniej, za szufladę dwie skrzynki, za wagon osiem i piętnaście za autobus. Co tu dużo gadać, handel kieruje się własnymi prawami, liczą się popyt, podaż i oczywiście cena. Każdy klient to taka gadzina, że kupi tam, gdzie taniej. Wystarczył raptem miesiąc, a pół szafki w naszej celi, która należała do Mańka, była pełna fajek. Gdybyśmy mieli to razem zjarać, starczyłoby nam na rok. Tak sobie myślę, że jeśli ich spółka działałaby na wolności, to pewnie stworzyliby prężnie funkcjonujące przedsiębiorstwo. Po dwóch miesiącach tak rozwinęli swoją sieć, że przestali bawić się w detal. Mieli takich

czterech miglanców, którzy wkradli się w ich łaski i dostali wyłączność. Ci kolesie, którzy z nimi współpracowali, to byli tak zwani fanciarze lub wielbłądy, bowiem tak wtedy określano wszystkich, którzy zajmowali się nielegalnym handlem. Fanciarze płacili za towar z góry i nabywali go oczywiście po cenach hurtowych. Następnie rozprawdzali na własną rękę na promenadzie, czyli na spacerunku. Tym sposobem interes kwitł i wszyscy byli szczęśliwi. Mówię wam, że Maniek i Kłodziu chociaż nie mieli żadnego wykształcenia, stworzyli perfekcyjną maszynę handlową. Działali niczym profesjonalna firma, która błyskawicznym szturmem opanowała rynek zbytu. Tak chyba w życiu bywa, że jeśli człowiek potrafi się przystosować do sytuacji i chce działać, to budzą się w nim uśpione talenty. Interesy układały się pomyślnie i przez długie miesiące chłopaki rządzą w najlepsze.

Piątego marca 1953 roku świat obiegła wieść o śmierci Józefa Stalina. Jedno było pewne - tyran i despota pożegnał się z tym padołem. Z tego co mi wiadomo, niektórzy historycy twierdzą, że ktoś mu pomógł odejść w zaświaty. Jedna z teorii mówi, że został mu wstrzyknięty chemiczny specyfik o tajemniczej nazwie warfaryna, inna hipoteza snuje domysły, że mogła to być solidna dawka adrenaliny. Słyszałem również twierdzenie, że kilka dni wcześniej Stalina uśmiercili jego najbliżsi współpracownicy i dopiero kiedy nastąpił podział na szczytach sowieckiej władzy, informacja o jego zgonie została podana do publicznej wiadomości. Zresztą palicho, jaka była prawda. Trupa nie da się wskrzesić.

Śmierć wodza została brutalnie wykorzystana przez międzynarodową propagandę. Na kontynentach globu prym wiodły wtedy dwie ideologie. Z jednej strony barykady był komunizm, a z drugiej drapieżny kapitalizm. Przedstawiciele obu tych frakcji chcieli na zgonie Stalina ugrać coś dla siebie. Chyba nie będzie w moich słowach żadnej przesady jeśli stwierdzę, że wiele milionów ludzi szczerze ucieszyło fakt, iż jeden z

największych zbrodniarzy XX wieku wyzionął ducha. Po jego śmierci w bardzo krótkim czasie nastąpiły kolosalne zmiany, które również odbiły się echem w murach wszystkich polskich więzień. Nie wiem czy wiecie, ale był taki dość ciekawy epizod, który miał miejsce dwa dni po oficjalnej śmierci najsłynniejszego w historii świata Gruzina. Miasto Katowice, które było wtedy jedną z największych śląskich aglomeracji, zostało przechrzczone na Stalinogród i ta nazwa funkcjonowała przez ponad trzy długie lata. Dziś trudno uwierzyć, że coś takiego miało miejsce. Ludzie, którzy poznają historię z podręczników, przyjmują tę wiedzę jako nowinkę albo ciekawostkę. Nie zdają sobie sprawy jaki był wtedy świat.

Nawet nie są sobie w stanie tego wyobrazić.

Po świętach wielkanocnych władze więzienia wpadły na pomysł, żeby przebudować starą kaplicę, która od kilku lat służyła za typową graciarnię. Potężne pomieszczenie, ulokowane w głównym budynku liczyło ponad trzysta metrów kwadratowych otwartej powierzchni użytkowej! Kiedy Prusacy pod koniec XIX wieku wznosili wronieckie więzienie, wybudowali kaplicę w bardzo charakterystyczny sposób. Chyba wam już o tym wspominałem, że podłoga nie była wykonana w poziomie lecz miała spadek, a różnica pomiędzy dwoma przeciwległymi krawędziami miała kilka metrów. Ołtarz był ulokowany w najniższym punkcie i licząc od podłogi, aż po belkę stropową strzelistego dachu, wysokość wynosiła jakieś szesnaście metrów. Zresztą, przecież wiecie jak wyglądają budowle sakralne. Bez względu na wyznanie wiernych, mają jedną cechę wspólną. Ich wnętrza przeważnie są przestrzenne i wysokie, żeby sprawiały wrażenie dostojności i powagi. Trudno mi natomiast powiedzieć, jaki był faktyczny powód, że wroniecka kaplica miała zostać zlikwidowana? Mogę jedynie domniemywać, że dyrekcja więzienia otrzymała jasne wytyczne z ministerstwa. W tamtych latach władza ludowa toczyła niemalże jawną wojnę z klerem, a w Polsce partyjnym towarzyszom marzyło się, żeby zepchnąć

kościół rzymsko-katolicki na boczny tor. Wasi dziadkowie na pewno pamiętają tamte czasy i dużo mogą wam opowiedzieć, jak wyglądała wtedy dyskryminacja w socjalistycznym wydaniu.

Gdy wieść o przebudowie kaplicy dotarła na stolarnię, to powiem wam, że nawet się ucieszyłem, bowiem od ponad dwóch tygodni nie mieliśmy nic mądrego do roboty. Wszystko wskazywało na to, że kwietniowa pensja będzie cieniuteńka, ale z taką myślą człowiek potrafił się pogodzić. Wiecie jednak co było gorsze od szczupłego portfela? Brak sensownego zajęcia. Szczerze. Już od pierwszego dnia po świętach, zaczęliśmy praktykować obijanie się na wszelkie możliwe sposoby. Bez żadnego przymusu, sami od siebie, zaczęliśmy robić wiosenne porządki. Wszystkie półki lśniły czystością. Wojtas miał chyba natchnienie, bo sklepał zestaw skrzyneczek na gwoździe i posegregowaliśmy je według rozmiarów. Zrobiliśmy nawet generalny przegląd wszystkich stolarskich narzędzi. Mówię wam, nuda pożerała nas żywcem.

W ostatni poniedziałek kwietnia w stolarni pojawił się jakiś goguś w białej koszuli i granatowych portkach wyprasowanych w kancik. Przez dłuższą chwilę rozmawiał z Panem Cipą, kiedy ten nagle zdjął z głowy swój roboczy kaszkiet, cisnął nim o podłogę i wrzasnął:

- Kto wymyślił coś tak mądrego?! - Rzucił z pogardą. - To jest robota głupiego! To my będziemy się tutaj cackać z tym dziadostwem, a zlecenie na ławki przejdzie nam koło nosa?! - Dopiero słysząc jego wrzaski, zainteresowaliśmy się tematem dyskusji.

Chodziło o to, że podłoga w kaplicy zostanie podniesiona i wyrównana, a dzięki temu piętro niżej, więzienie zyska kolejne obszerne pomieszczenie. Sęk w tym, że mieliśmy wykorzystać te same deski, które były tam od dnia, kiedy ta instytucja zaczęła spełniać rolę, do której została stworzona. Prawdopodobnie problemem było nabycie kosztownych materiałów i z tego powodu zapadła właśnie taka decyzja. Gdyby nowy parkiet został

położony tylko w kaplicy, to administracja więzienna musiałaby wyłożyć forszę na ponad trzydzieści kubików dębowych desek. A co z pomieszczeniem poniżej? Również podłoga z desek? Wylewka? A może terakota? Remont był bardzo kosztowny.

- Obywatelu Kocipa! - Warknął władczy tonem jego rozmówca.

- Przestańcie mi tutaj podnosić głos i pokazywać swoje nerwy! Jeszcze dziś macie rozpocząć prace! - Po czym facet obrócił się na pięcie i wyszedł ze stolarni.

- Jebany gryzipiórek! - Pan Cipa zaklął w głos.

Podniósł z podłogi czapkę i trzymając za daszek, trzepnął nią kilka razy o swoje udo. Drobinki trocin i kurzu zawirowały w powietrzu.

Strażnik siedzący przy oknie wpatrywał się w gazetę, ale wyraz jego twarzy zdradzał, że nadal czuje się rozbawiony zaistniałą sytuacją.

- Chodźcie tu! - Wrzasnął wściekle nasz szef.

Nasza piątka ustawiła się w szeregu obok pieco-kuchni.

- Słyszeliście co jest grane?! - Zapytał i spojrzał po naszych twarzach. - Siedzicie obok i nie interesuje was, co się tutaj dzieje?!

- My nie podsłuchujemy cudzych rozmów - rzucił zadziornie Wojtas.

Pan Cipa spojrzał na niego groźnym wzrokiem i rzekł:

- W takim razie ty - zwrócił się do Wojtasa - i jeszcze ty, ty i ty - ominął mnie i Alego, a palcem wskazał na pozostałych - bierzecie swoje narzędzia i idziecie ze mną!

Tamci poszli i nikt nie wiedział, co dalej? Klawisz miał to wszystko w dupie, zastępca szefa siedział na taborecie z nosem w książce, a my dwaj staliśmy przez chwilę jak kołki.

- Złapcie się za jakąś robotę! - Rzucił w naszą stronę strażnik, jakby chciał nam powiedzieć, mamy pozorować jakieś zajęcie, co w podtekście znaczyło - strąćcie mi się z oczu!

Zrobiliśmy z Alim w prawo zwrot i znikając w drugim pomieszczeniu, spełniliśmy jego życzenie.

Bajstoka traktowałem jak zwykłego znajomego. Rzadko

rozmawialiśmy ze sobą, ale jak już do tego dochodziło, to nie zgrywał przede mną nonszalanckiego twardziela. Cóż mieliśmy robić? Jeszcze zegar nie wybił południa, a przed nami zostały ponad trzy godziny do zakończenia dniówki. Usiedliśmy na ławce pod oknem i Ali rzekł:

- Teraz jesteśmy sami, to przynajmniej można pogadać, no nie? - Nie wiem czy szukał u mnie potwierdzenia, ale od niechcienia odparłem:

- A o czym chcesz pogadać?

- Nie wiem - wyciągnął przed siebie nogi - o byle czym, na bajerce czas szybciej płynie. Słyszałem co nieco o tobie - powiedział znienacka.

Spojrzałem na niego lekko zaskoczonym wzrokiem.

- Podobno jesteś jednym z czterech generałów.

- Kim? - Zapytałem z niedowierzaniem.

- Grypserzy odmierzają czas odsiadki stopniami wojskowymi, a bezterminowcy to już generalicja. Tym bardziej - ciągnął dalej - że ty odgarowałeś chyba całkiem sporo lat. Szacun - spojrzał mi w oczy i wykonał głową taki ruch, jakby chciał podkreślić, że składa mi ukłon.

- Ciekawe - odparłem po chwili. - A ty jaki masz stopień? - Wziąłem go na spytki.

- Pełny major, sam zobacz - powiedział z dumą w głosie, po czym zdjął z ramienia bluzę i pokazał mi swój prawy bark. Widniał tam tatuaż, który do złudzenia przypominał swoim wizerunkiem wojskowy pagon z dystynkcją.

- Z tego co mi wiadomo - odparłem w lekką kpinę w głosie - to dwie belki i dwie gwiazdki oznaczają rangę podpułkownika, a nie majora.

- No błagam cię - rzucił nieco rozbawionym tonem - dwie belki są pełne, jedna gwiazdka jest pełna, a druga ma przecież tylko same kontury.

- No i co z tego, skoro to nadal jest stopień podpułkownika, a nie majora - powtórzyłem uparcie.

- Liczy się to co jest wypełnione - wyjaśnił - jedna belka, znaczy



jeden rok, a każda gwiazdka kolejne trzy lata. Tę drugą gwiazdkę będę mógł sobie zapełnić dopiero za dwa lata - podkreślił swoje ostatnie słowa, jakby oczekiwał, że z tego powodu wyrażę swoje uznanie.

- Czyli wychodzi na to, że masz już za sobą sześć lat więzienia.

- Siedziałem więcej, bo poprawczak też się liczy - dodał z nutką nieukrywanej dumy.

- A ile ty masz właściwie lat? - Zapytałem z czystej ciekawości.

- Dwadzieścia pięć - odparł. - W poprawczaku siedziałem dwa lata. W pierdłu zaliczyłem sześć i tak na dobrą sprawę, to powinni mi pozwolić zalać gwiazdeczkę.

- Kto ci powinien pozwolić? - Zaintrygował mnie.

- Nieważne - rzucił i machnął ręką, jakby chciał rzec - zapomnij o temacie. - Chcesz mi powiedzieć, że nie zrobiłeś sobie generalskiego wężyka? - Wypowiedział swoje słowa z takim niedowierzaniem, jakiego jeszcze chyba nigdy w życiu nie słyszałem.

- Ja miałbym sobie oszpecać ciało tatuażami? Żartujesz sobie? Po co miałbym się naznaczać w ten sposób?

Ali zaśmiał się szyderczo i odparł:

- No widzisz i właśnie dlatego jesteś frajer.

Tego było za wiele, już chciałem go zjechać, kiedy on szybko dodał:

- Frajer ale w zupełnie innym znaczeniu tego słowa, niż ty pojmujesz. Widzisz, więzienny świat ma swoją hierarchię. Najwyżej stoją ludzie, czyli grypsujący skazańcy, którzy mają swoje zasady i prawa, frajerzy, to tacy jak ty, którzy nie należą do naszej ferajny - powiedział "naszej" i zrozumiałem to w ten sposób, że on czuje się zdeklarowanym członkiem jakiejś organizacji. - Potem są już tylko kapusie i cwele. Najgorszy możliwy sort - powiedział i splunął, jakby ślina parzyła go w język. - Frajer dopóki nie kabluje, albo nie został przecwelony jest tylko nieszkodliwym frajerem. Kapuś to wiesz, to śmieć, który współpracuje z gadami, a cwel...

- Z jakimi gadami? - Wpadłem mu w zdanie.

- No nie ściemniaj mi, że nie wiesz kim jest gad?! - Był tak samo zaskoczony, jak kilka chwil temu.

Spojrzał na mnie i chyba zrozumiał, że ja naprawdę tego nie wiem.

- Gad to klawisz - odezwał się szeptem, jakby się obawiał, że strażnik siedzący w drugim pomieszczeniu może usłyszeć jego słowa - albo gacek, oprawca, kurwa, menda - zaczął wyliczać na palcach. - Kruk, czerwony pajak, pies łańcuchowy lub pies na smyczy. Wymieniłem wszystkie określenia? - Spojrzał na mnie, ale odniosłem wrażenie, że pytał samego siebie. - Chyba tak - stwierdził po chwili. - Tak tytułuje się mundurowych do stopnia starszego chorążego. Natomiast kadra oficerska to po prostu gwiazdorzy. Można mówić gwiazdor albo gwiaździor, jednak żeby było śmiesznie, to tak samo nazywa się największych charakterniaków - zaśmiał się.

- A frajerów jak nazywacie?

- Chwiej, hołota, nygus, pachol, niegrypsujący albo po prostu nieczłowiek.

- A kapuś ma jakieś inne określenie? - Pomknąłem za ciosem i drażyłem temat.

- Kapuś to przede wszystkim kurwa, ale mówi się też o nich chlejtus, kabel, tufta, zaraza, kapusta, kabel, szmata, radarowiec, legawiec, ucho, uchol, zausznik - wymienił chyba wszystkie możliwe pochodne od słowa ucho.

- A cwel?

- Tego jest od chuja! Dnia nie starczy, żeby wymienić - zarechotał.

- No powiedz, jak jeszcze na nich wołacie? - Ciągnąłem go za język.

- Ciota, ciotka, chabeciarz, cwelica, kochany, dupodajec, ładny, parowiec, parów albo parowóz. Może też być murzyn, paparuch, puzonista, rura, w styję szarpany, suka, druciara chociaż mnie osobiście najbardziej podoba się dowódca cegielni - znowu się zaśmiał, jakby opowiadał coś iście zabawnego. - Ty, ale nikomu ani słowa, że coś ci powiedziałem. Bo wiesz, grypsu nie można sprzedawać frajerom i używać na wolce.

- Na jakiej wolce?

- No na wolności, oj boże drogi - prawie jęknął - nie mów, że trudno skapować?

- To ty jesteś grypsujący, tak? - Zapytałem.

- A jakże by inaczej - rzucił, a ja miałem wrażenie, że za każdym razem jeśli coś dotyczyło jego egzystencji skazańca, mówił o tym z prawdziwą dumą.

- Powiedz coś po waszemu - chciałem go wziąć na spytki.

- Nic z tego - odparł - i tak za dużo ci wypaplałem, ale Deruś i Słodki powiedzieli nam, że ty i Wszechmogący Maniek chociaż jesteście czystymi frajerami, to stopnie generałów wymagają szacunku. Sam dobrze wiesz, zasady to zasady - spojrzał przed siebie, pociągnął nosem i rzekł z powagą: - Bo kim byśmy byli, jeżeli wysralibyśmy się na zasady? - To było retoryczne pytanie, a w jego mniemaniu te słowa miały chyba zabrzmieć jak jakaś mądra, życiowa sentencja.

- No dawaj Ali, zagrypsuj coś...

- Nie! - Warknął i zaraz dodał: - Zważaj na słowa! - Uniósł do góry wskazujący palec. - W moim świecie nie wolno się zwracać do człowieka - wypowiadając słowo "człowieka" miał chyba na myśli osobę grypsującą - używając słów dawaj, pociągnij, posuń się, kochanie, kochany, miły, ładny... Jest mnóstwo wyrazów zakazanych, tyle ci tylko powiem.

Odniosłem wrażenie, że słowa, które w normalnym świecie mogą zostać wypowiedziane w podtekście seksualnym były przez grypsujących traktowane jako uwłaczające.

Do końca dniówki rozmawialiśmy o różnych sprawach, a ja prowadziłem dyskusję tak, żeby nawiązać z Alim nić sympatii. Musiałem się w jakiś sposób rewanżować własnymi opowieściami i dlatego snułem przed nim historie o tym, jak wyglądało więzienne życie w czasach II Rzeczypospolitej.

Nie przeczę, nawet miło się z nim gadało, ale ja nie szukałem kumpla w jego osobie, tylko źródła informacji.

Od pierwszej chwili, kiedy usłyszałem o grypsujących, czułem cholerną pokusę ciekawości. Im więcej docierało do

moich uszu na ich temat, tym bardziej moje zainteresowanie rosło. Chciałem wiedzieć, po prostu musiałem zaspokoić jakąś moją nieznaną mi, duchową potrzebę. Sam byłem zaskoczony siłą tego uczucia. Miałem wrażenie, jakbym przekroczywszy półwiecze własnego istnienia, zaczął odkrywać na nowo samego siebie. Krótko mówiąc, wiem doskonale, jaka burza emocji kryje się za słowem - fascynacja. Tak moi drodzy, uległem prawdziwej fascynacji światem grypsujących.

Zdobytą wiedzą, już od pierwszego dnia dzieliłem się z Mańkiem. Kiedy dowiedział się, że nazywają go za plecami Wszehmocny, usiadł na pryczy, pogładził się po brodzie, spojrzął w okno i rzekł tylko jedno:

- Niedobrze.

- Czemu tak mówisz? - Zapytałem.

- Oni rosną w siłę - odparł po chwili. - Pamiętasz jak ci mówiłem, że ten cały bajzel zacznie się dzielić na grupy? - Chociaż właściwie nie pytał, tylko stwierdzał fakt. - To już się zaczęło. Wiesz kiedy nadaje się drugiemu ksywkę za jego uszami? - Spojrzął na mnie wymownym wzrokiem. - Kumasz? Coś jest na rzeczy Ropuch. - Pokiwał głową i dodał: - Coś jest kurwa mać na rzeczy i niebawem dowiem się co - stwierdził poważnym tonem. Przyznaję, że Maniek miał nosa, aczkolwiek to "coś", przyszło dopiero w połowie lata.

Pisząc swoje wyznania, dochodzę do wniosku, że muszę opowiedzieć wam o mało znanych rewirach więziennego życia. Ukrytych w cieniu, zepchniętych na margines, obwarowanych znową milczenia i regułach owianych tajemnicą. Gdybym miał skupić się na sprawach związanych tylko z grypserką, musiałbym na to poświęcić setki stron, albo i jeszcze więcej. Natomiast moim celem jest ukazanie, jaką ewolucję przeszło to środowisko we wronieckim więzieniu począwszy od chwili swojego rozkwitu w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych, aż do dnia mojego wyjścia na wolność. Chyba zdajecie sobie sprawę, że w dalszej części tego

pamiętnika, ta sprawa bezustannie będzie przewijała się w moich słowach. Czasami odejdzie, ukryje się w tle, a innym razem wkroczy na pierwszy plan i obnaży brutalną arenę krwawych wydarzeń.

Jak się zapewne domyślacie, udało mi się pociągnąć Alego za język. Kto wie, jak potoczyłyby się moje losy, gdyby nie remont kaplicy, bowiem dzięki tej przebudowie zacząłem zdobywać swoją wiedzę. Moje postępowanie było identyczne jak podczas hitlerowskiej okupacji. Instynkt skazańca podpowiadał mi, że muszę gromadzić informacje i poznać język domniemanego wroga. Wiedziałem, że jeśli tak uczynię, to zawsze będę krok przed przeciwnikiem. Oczywiście nie zrozumcie mnie źle, nie traktowałem grypsujących jako potencjalnych agresorów tylko postępowalem w myśl starego, mądrego porzekadła, że watro dmuchać na zimne.

Przez prawie dwa tygodnie Wojtas i tamtych trzech zrywało parkiet, a ich zadaniem było odzyskanie jak największej ilości desek, które za jakiś czas, miały tam trafić ponownie. Chłopaki znosili zdemontowany towar pod drzwi warsztatu, a ja i Ali dokonywaliśmy segregacji. Odcinaliśmy miejsca ewidentnie zmurszałe lub uszkodzone w sposób mechaniczny. Praktycznie każdą deskę trzeba było gdzieś przyciąć, sporo z nich klasyfikowało się wyłącznie do pieca. Natomiast te, które nadawały się do ponownego użycia, układaliśmy na zewnątrz pod ścianą stolarni. Rozłożyliśmy tam płachtę brezentu i na koniec każdej szychty, zabezpieczaliśmy cały składzik przed deszczem. Generalnie nie było z tym za dużo pracy, a czasu jednak mieliśmy sporo, więc bajerka leciała na okrągło.

Dowiedziałem się od Alego, że nie każdy skazaniec może zostać grypserem. Najważniejszą sprawą było to, że CZŁOWIEKIEM nigdy nie będzie ktoś, kogo ojciec jest, albo był, pracownikiem wymiaru sprawiedliwości, milicjantem lub piastuje czy też pełnił w przeszłości, funkcję na wysokim stanowisku państwowym. Jeżeli należałeś do PZPR albo do jakiejś innej organizacji

społeczno-politycznej, chociażby do ZSMP, które powstało dopiero w 1976 roku, to też nie miałeś szans, żeby przyłączyć się do wiadomej ekipy. Polityczna, że tak to ujmę negacja rekrutacyjna, zaczęła umierać pod koniec lat osiemdziesiątych. Rzeczywistość PRL-u rozsypywała się wtedy w pył i nadciągała nowa era, która niosła z sobą druzgocące zmiany.

CZŁOWIEKIEM również nigdy nie mogła zostać osoba o orientacji homoseksualnej albo taka, która została w przeszłości przecwelona. I teraz taka ciekawostka, wyobraźcie sobie, że w grupie grypsujących wybucha konflikt. Normalna sprawa, raz na jakiś czas takie rzeczy się zdarzały. W wyniku tego zajścia jeden z członków grupy został zgwałcony przez drugą stronę sporu. Jeżeli taka sytuacja miała miejsce, to ów delikwent był automatycznie wykluczany z grona grypsujących. Bezpowrotnie. Nawet jeśli później okazało się, że incydent zawierał kłamstwa i fałszywe oskarżenie, to poszkodowany i tak nie mógł wrócić z powrotem na łono grupy. Powód był prosty - został przecwelony.

Teraz dość ważna informacja.

Zapamiętajcie już niektóre dziwnie brzmiące słowa, bowiem później zacznę się nimi posługiwać i nie będę powracał do tego, co dany wyraz oznacza. A swoją drogą, niektóre nazwy tak bardzo przypadły mi do gustu, że zacząłem się nimi posługiwać na dobre. Od tej pory będziecie już zdani na siebie i musicie zachować czujność. Chodzi również o to, żebyście dobrze interpretowali dwa słowa: "człowiek" i "ludzie". Jedyne co mogę dla was zrobić, to tyle, że będę pisał te oba wyrazy z dużej litery w odniesieniu do grypsujących. Mam nadzieję, że będąc w twórczym ferworze nie zapomnę o tym, dlatego na wszelki wypadek, bądźcie uważni.

Lekcja pierwsza.

Takie określenia jak siemak, siemach, szamak lub szemrany w środowisku niegrypsujących było żartobliwym określeniem więźnia grypsującego. Chociaż druga strona niekiedy postrzegала to, jako obrazę i wiele razy z tego powodu dochodziło do niepotrzebnych starć.

Lekcja trwa nadal i na tapetę bierzemy spacerniak. Znaczenia

poходne to, chodak, deptak, dreptak, kierat, klatka, kołowrót, park, patelnia, promenada, plaża, rajskie podwórko, wybieg, wychodek. Natomiast więzienie jako obiekt, gdzie odbywa się karę, miało tak wiele imion, że trudno spamiętać. Niektóre z nich to, buda, chata za wsią, ciupa, cyrk, gułag, hotel czy kazamaty. Dalej był loch, operetka, paka, pierdel, pensjonat, pucha, stodoła, ul i można tak jeszcze długo wymieniać. Natomiast popularnością cieszyło się tylko kilka utartych powiedzeń, które nie są wam obce.

Więzienny korytarz zyskał natomiast najbardziej oryginalne i wymowne określenie, które brzmiało - peron. No sami powiedzcie, dobitne porównanie, prawda? Kurde, peron. Kiedy o tym usłyszałem, pokochałem ten wyraz od pierwszej chwili.

Na tym kończymy pierwszą lekcję wprowadzającą.

Pewnego dnia, kiedy reperowaliśmy z Alim deski parkietu, była piękna pogoda. Majowe słońce prażyło w najlepsze, w powietrzu unosił się zapach wiosny i było tak gorąco, że człowiek musiał zdjąć bluzę. Rozebraliśmy się do podkoszulek i wtedy dostrzegłem na wewnętrznej powierzchni jego przedramienia koślawy dwuwiersz. Litery wyglądały bardzo nienaturalnie i krzywo, jakby osoba dziargającego, reprezentowała swoim intelektem i zdolnościami manualnymi poziom przeciętnego ucznia drugiej klasy szkoły podstawowej. Sentencja wytatuowana dużymi literami głosiła - POTOM SIE NARODZIŁ I WYCHOWAŁ ABYM CAŁE ŻYCIE GRYPSONAŁ. Nawet mu nie powiedziałem, że prawidłowo powinno być napisane "się" a nie "sie". Doszedłem do wniosku, że z tym "sie", to też może być jakaś grypsówka fanaberia i odpuściłem.

- Kto ci tak spartolił tę dziarę? - Zapytałem z nutką lekkiej kpiny.

- Eee, dobrze było, ale potem podrosłem, no to się porozciągało - mimowolnie spojrział na swoje lewe przedramię i dodał: - Miałem wtedy piętnaście lat. Siedziałem w poprawczaku i trzeba było pokazać dzieciakom, kto tu rządzi.

- No toś dał popis - skwitowałem z politowaniem.

- Co ty tam wiesz - zaśmiał się - dzięki temu wszyscy widzą z kim mają do czynienia, a i ameryka wtedy trwa krócej.

- Jaka ameryka? - Zapytałem.

- To jest tak - zaczął snuć swoją opowieść. - Ktoś dostaje wyrok i trafia do pudła. Klawisze pakują gościa do celi gdzie siedzą grypsujący, to wiesz co się wtedy dzieje?

- Nie mam bladego pojęcia.

- No wita się takiego starym, grypserskim zwyczajem. Wygląda to tak, że rzuca się mu pod nogi ręcznik i obserwuje, co zrobi. Jeżeli wytrze buty, znaczy się, że jest doświadczonym Człowiekiem. A jak jeszcze powie "sie macie ludziska!" po czym spojrzy po twarzach i usłyszy właściwą odpowiedź, to wtedy uściska dopiero drugiemu rękę.

- A jak brzmi ta odpowiedź? - Dociekałem.

- No jak to jak - uśmiechnął się pełną gębą i powiedział: - Git!

- A co jeśli nowy podniesie ręcznik albo nad nim przejdzie? - Byłem ciekaw co wtedy.

- Przechodzi chrzest noworodka - odparł Ali wzruszając ramionami. - Wszyscy Ludzie rzucają się wtedy na kołesia i robią mu łomot. Potem ocenia się jego postawę. Jeżeli walczył zaciekle i bronił się, to budzi uznanie. Jeśli stawiał opór jedynie słowem i sprytnie unikał ciosów, to już jest gorzej, ale jeśli sterczał bezradnie jak pizda, pozwalał się okładać i w ogóle nie odpowiadał na atak, to może być kiepsko. Oczywiście takie zachowanie nie pogrąża kołesia na amen, bo jak to się mówi - zniżył nieco ton swojego głosu, jakby się obawiał, że ktoś może usłyszeć jego słowa. Byliśmy w pomieszczeniu tylko my dwaj, a on i tak odezwał się konspiracyjnym tonem: - ameryka może z cyców zrobić jeszcze Ludzi.

Potem dowiedziałem się, że ta cała "ameryka" tudzież "amerykanka" to taki staż, jaki musi przejść osoba chcąca dołączyć do grupy. Ten okres może trwać od kilku tygodni do sześciu miesięcy. W tym czasie kandydat do organizacji przechodzi sprawdzian charakteru i pobiera edukację. Pilnie uczy się języka i norm panujących w grupie. W przypadku niektórych



*Dalsza część książki dostępna w wersji  
pełnej.*

